

665

51
„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

Kott

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

W TOMPKINS

DIALOG

ONA
SIĘ
PARK

02-595 WARSZAWA, ul. Puławska Nr 61

10

-10-92

Nr z dn.

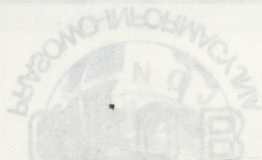
Tompkins Park jest w Manhattanie. Przed dwoma tygodniami widziałem tam czasem na ulicy małą wnuczkę. Rodzice mieszkają na Siódmej Ulicy przy Pierwszej Avenue. Tompkins Square jest o trzy przecznice dalej na wschód. Można tam łatwo dojść spacerem ciągnąc wózek z dzieckiem. Czasami towarzyszył nam Janusz. Mało kto nazywał go teraz „Głowa”, tylko jego dawni znajomi z Krakowskiego Przedmieścia. Głowacki mieszkał wtedy także w tym samym domu na Siódmej Ulicy.

W parku na Tompkins Square jest wydzielona zagroda dla dzieci, w niej zjeżdżalnia, huśtawki i piaskownica. Ale piasek jest w niej brudny. Tompkins Square Park nie jest ładny. Nawet trudno go nazywać parkiem. Więcej tam gołej ziemi niż trawy. Drzewa mają obłamane gałęzie i są niemal bez liści, wyglądają jak strachy na wróble. Ale wróble rzadko tam zachodzą, bo nie znajdują nawet okruszków. Leżą tylko wszędzie porwane gazety i szmaty. Butelki i puszki są od samego rana pozbierane, można je sprzedać za parę centów. Na ławkach, jeżeli jest trochę słońca, śpią homlesie. „Bezdomni” w naszym jeszcze żeromskim podaniu mają obrzeże symbolu. Homlesie śmierdzą i nie mają gdzie pójść. W tym parku o wydartej zieleni okupują nie tylko ławki. Na drewnianej estradzie, a

...j odpadły homlesów: ...dzieci i ...przewijają niemowlęta, chorują i umierają na tym najbardziej publicznym ze wszystkich teatrów. Ale nie opisze już ich żaden Lévi-Strauss. Już chyba rok, jak wygnano homlesów i ze szczątków tego parku.

W dół i w górę od Siódmej Ulicy była długo jedna z tańszych dzielnic Manhattanu. Zaludniona przez emigrantów, i to głównie ze Wschodniej Europy: Ukraińcy, Polacy, trochę ubogich orientaliów. Jeszcze dziś są tam restauracje: Jolanta, Teresa, Danuta. Można tam dostać znakomite ruskie pierogi za parę dolarów. Jarzynami i kwiatami handlują Koreańczycy. Ale właśnie mniej więcej przed rokiem cała ta dzielnica zaczęła ulegać „gentryfikacji”. Bardzo dziwne słowo, o ile go nie przekreślić, znaczy mniej więcej to samo, co operacja kosmetyczna: lift, poprawienie nosa albo choć usunięcie węgłów. Pomalowano parę fasad, podreperowano parę ruder, otwarto dwa nowe butiki i jeden sklep porno. Dwa ciemne szynki, jak przed wojną w Świdrze, gdzie można było się tanio upić, zamieniły się w puby. Mieszkania skoczyły w górę i z miesiąca na miesiąc podrożały czynsze. Homlesów pędzą z elegantszych dzielnic. W tej „gentryfi-

665

*Jan Kott*

ANTYGONA POWIESIŁA SIĘ W TOMPKINS SQUARE PARK

Tompkins Park jest na dolnym Manhattanie. Przed dwoma laty prowadziłem tam czasem na spacer moją małą wnuczkę. Rodzice jej mieszkali na Siódmej Ulicy przy Pierwszej Avenue. Tompkins Square jest o trzy przecznice dalej na wschód. Można tam łatwo dojść spacerem ciągnąc wózek z dzieckiem. Czasami towarzyszył nam Janusz. Mało kto nazywał go teraz „Głowa”, tylko jego dawni znajomi z Krakowskiego Przedmieścia. Głowacki mieszkał wtedy także w tym samym domu na Siódmej Ulicy.

W parku na Tompkins Square jest wydzielona zagroda dla dzieci, w niej zjeżdżalnia, huśtawki i piaskownica. Ale piasek jest w niej brudny. Tompkins Square Park nie jest ładny. Nawet trudno go nazywać parkiem. Więcej tam gołej ziemi niż trawy. Drzewa mają obłamane gałęzie i są niemal bez liści, wyglądają jak strachy na wróble. Ale wróble rzadko tam zachodzą, bo nie znajdują nawet okruszków. Leżą tylko wszędzie porwane gazety i szmaty. Butelki i puszki są od samego rana pozbierane, można je sprzedać za parę centów. Na ławkach, jeżeli jest trochę słońca, śpią homlesi. „Bezdomni” w naszym jeszcze żeromskim podaniu mają obrzeże symbolu. Homlesi śmierdzą i nie mają gdzie pójść. W tym parku o wydartej zieleni okupują nie tylko ławki. Na drewnianej estradzie, a

może była to scena, z której odpadły ściany, osiedliło się plemię homlesów: mężczyźni i młode kobiety, dzieci i starcy. Śpią, gotują, jedzą, przewijają niemowlęta, chorują i umierają na tym najbardziej publicznym ze wszystkich teatrów. Ale nie opisze już ich żaden Lévi-Strauss. Już chyba rok, jak wygnano homlesów i ze szczątków tego parku.

W dół i w górę od Siódmej Ulicy była długo jedna z tańszych dzielnic Manhattanu. Zaludniona przez emigrantów, i to głównie ze Wschodniej Europy: Ukraińcy, Polacy, trochę ubogich orientaliów. Jeszcze dziś są tam restauracje: Jolanta, Teresa, Danuta. Można tam dostać znakomite ruskie pierogi za parę dolarów. Jarzynami i kwiatami handlują Koreańczycy. Ale właśnie mniej więcej przed rokiem cała ta dzielnica zaczęła ulegać „gentryfikacji”. Bardzo dziwne słowo, o ile go nie przekreśliłem, znaczy mniej więcej to samo, co operacja kosmetyczna: lift, poprawienie nosa albo choć usunięcie wągrows. Pomalowano parę fasad, podreperowano parę ruder, otwarto dwa nowe butiki i jeden sklep porno. Dwa ciemne szynki, jak przed wojną w Świdrze, gdzie można było się tanio upić, zamieniły się w puby. Mieszkania skoczyły w górę i z miesiąca na miesiąc podrożały czynsze. Homlesów pędzą z elegantszych dzielnic. W tej „gentryfi-

kacji” któregoś dnia o świcie policjanci wypędzili homlesów. Park otoczono siatką z drutu wysoką na sześć stóp. Na bramie parku powiesiła się Antygona Głowackiego.

Antygona jest oczywiście z Sofoklesa. Jak tamta, chce wyprawić pogrzeb trupowi. Pochować go po bożemu, z dwiema świecami i stypą z kawałka sera umaczanego w miodzie. Ale trup został ukradziony albo raczej zabrany przez ambulans i wywieziony na morgę, jak wszystkie nie zidentyfikowane trupy w Nowym Jorku. Wrzuca się je potem do wspólnego dołu pod więzieniem. Ta nowa, trzydziesto-pięcioletnia Antygona z Puerto Rico chce wykraść trupa i pogrzebać w Tompkins Square Park.

Obok portorykańskiej Antygony i trupa, na scenie jest jeszcze dwóch homlesów: Pchełka i Sasza, cwaniaczek z Polski i Żyd z Petersburga. „Byli ludzie” na dnie, jak u Gorkiego. Ale scena nie jest „piwnicą przypominającą jaskinię”, tylko ławką wśród krzaków w Tompkins Square Park. Obok drzewo bez liści. Jaki to teatr? Ta ławka to jedyny adres, ostatnie miejsce w Nowym Jorku, jakie im zostało. Są tu od pięciu lat, może nawet i więcej, nie potrafią już sami zapamiętać. Są ze sobą. Pchełka kurczowo trzyma się Saszy, brzydzą się sobą, jak własną skórą w robactwie, ale jak można odejść z własnej skóry? Odchodzą i nie mogą odejść. Bo gdzie? Po mojej maszynie chodzi w tej chwili mała mrówka, tam i z powrotem, i nie może odejść. Zgubiła ślad. Mała Pchła z Polski i Sasza, który kiedyś był, był malarzem, ale już wszystko jedno czym był, bo mu się teraz trzęsą ręce. Czekają. Na jakąś Jolę, która przyjedzie, na wizę. I trzyma ich to, że rozpamiętują swoje Godoty, że z nich szydzą.

Bez Becketta nie byłoby tych dwóch homlesów. Ale ważne, że odnalazł ich Głowacki na tej ławce w Tompkins Square Park na dolnym Manhattanie. Dał im adres. Nie jest ważne, skąd ziarno, ale jaki chleb. Nie byłoby *Baladyny* bez *Makbeta* i *Snu nocy letniej*. Przyrównanie jest na wyrost, ale tak właśnie trzeba.

Czeka się zawsze. Nigdzie i wszędzie. Geniuszem teatralnym Becketta jest ukazanie sytuacji powszechnych. Pod drzewem bez liści albo na piaszkowej wydmy. Estragonowi i Władimirowi śmierzdzą nogi i rozmyślają, który z łotrów został zbawiony. Ten po lewej czy ten po prawej stronie Ukrzyżowanego. Czekają i siusiąją. U Głowackiego rozmawiają o srebrnikach Judasza i także siusiąją.

Raz jeszcze nie jest ważny zaczyn, ale wypiek. Bez *Czekając na Godota* nie byłoby i *Emigrantów* Mrożka. Ci dwaj tam także są skazani na siebie, bo nie mają gdzie wrócić. Mroźek odnalazł ich w jakiejś ruderze za którymś z dworców berlińskich. Głowacki na tej ławce na Tompkins. Odkryciem dramatycznym jest czasem tylko nowy adres, właśnie ta ławka i nowe sprzężenie: *Na dnie* Gorkiego na ławce. Raz jeszcze: nie mogłoby obejść się bez Becketta. Ale dużo w nowym teatrze nie powstałoby bez Becketta.

Nie przestaje mnie zdumiewać, że do nowego realizmu (światły Ket Puzyra powiedziałaby może: do dojrzałego naturalizmu) prowadzi dramatyczna droga od tego, co może i zbyt pochopnie nazywaliśmy teatrem absurdu. Bo tylko w tej właśnie dykcji da się opowiedzieć walący się nam na głowy świat. Do tej poetyki absurdu zdrowo się przyłożyła historia. I to nie tylko u nas; w obie strony — za Odrą i za Bugiem. *Czekając na Godota* Beckett nazwał tragikomedią. My ją poznaliśmy na własnej skórze.

Antygona z dolnego Manhattanu dała dwom z ławki niepełne dwadzieścia dolców, żeby sprowadzili nieboszczyka z nadbrzeża na Bronksie. Tam czekają w trumnach zbitych z desek na transport. Trumien było dziesięć. Odbywali po kolei wieka, aż znaleźli podobnego. Ale Sasza miał złamane okulary, Pchełka atak epilepsji. I przywieźli innego trupa. Także miał brodę i Antygona nie poznała, kogo zakopali wspólnie pod ławką. Ale policja dowiedziała się, że zniknął z morgi jeden trup. Zaczęła szukać i znalazła na samym Manhattanie sześciu nieboszczyków.

Rzecz zwykła w Nowym Jorku. Głowacki jest nie pobity w wymyślaniu absurdu. Ale Nowy Jork bije wszystkie absurdy. „La réalité dépasse la vision”.

Sasza miał jeszcze na początku emigracji żonę. Kupił jej komputer, bo przepisywała dla amerykańskiego profesora. Została z profesorem i z komputerem. Profesor dowiódł, że Shakespeare był kobietą. Wzbudziło to chóry zachwytów. Co za odwaga! Co za inwencja! Ale na uroczystą akademię dla uczczenia wielkiego odkrycia przyszedł niespodziewanie Shakespeare i dał kopniaka uczonemu. Pięknie wymyślone. Ale żeby wymyślone przez polską Głowę? Rok temu najpoważniejsze tygodniki pisały, że profesor z Yale odkrył, iż najstarszą część Biblii napisała kobieta z książęcego rodu na dworze Salomona. Trzeba przyznać, że ogłosił to odkrycie znakomity hebraista i dekonstruolog. Biedni absurdaści! Co wymyślą, już się stało.

Tragikomedia nie przestaje być okrutna. Czasem bardziej okrutna od tragedii. Antygona z Manhattanu, zanim się powiesi na bramie okratowanego parku, zostanie zgwałcona na scenie, ale za krzakami. Słysząc jej krzyk, póki jej nie wsadzą knebla w usta. W parku zostaną tylko, ciągle na tej samej ławce, ci dwaj, którzy byli tam od lat, od początku.

VLADIMIR To co, idziemy?
ESTRAGON Chodźmy.
Nie ruszają się.

Ale nie zostaną. Bo policja zamknie park dla homlesów. Jest jeszcze u Głowackiego czwarta postać: Policjant.

Wygłasza komentarze, prolog i epilog. Jak Chór w greckiej tragedii, jest Miałem. Głosem miasta.

W zakończeniu Policjant zgłasza się wprost do widowni: „Według ostatnich danych liczba homlesów w Nowym Jorku zwiększa się. I w końcu tego roku na każdych trzystu nowojorczyków przypadać będzie jeden bezdomny. To by znaczyło, że dzisiaj w teatrze jest co najmniej jedna osoba, która niedługo znajdzie się na ulicy. I ta osoba dobrze wie, o kim mówię. Życzę państwu miłego wieczoru.”

Jeszcze w ostatnich chwilach akcji, tuż przed jej gorzkim rozwiązaniem, Sasza i Antygona chcą zacząć wspólne życie. Dostać wizy, wyjechać. „Wyrzuciliby nas po tygodniu”. Nas? Ta sponiewierana przez życie, portorykańska Antygona po raz pierwszy od lat usłyszała to słowo „nas”. Rzuciła się nagle „swojemu” Saszy na szyję.

Pytał mnie wielki amerykański socjolog, jacy są w tej sztuce u Głowackiego homlesi? Strykowski, kiedy go pytano, ile sobie liczy lat, odpowiadał: „tyle co wszyscy”. Jacy są homlesi u Głowackiego? Tacy, jak my wszyscy. Zobaczyłem niespodziewanie serce Janusza.

Stary jestem, mało piszę, już niedługo mi także na wspólną morgę. Muszę się śpieszyć z sądami. Za trzy najważniejsze polskie sztuki ostatnich lat uważam, *Emigrantów* Mrożka, *Do piachu* Różewicza i *Antygonę z Tompkins Square Park* Głowackiego. Kropka!

Kamienny Potok, lipiec 1992
© Jan Kott 1992